

Piotr Ibrahim
Kalwas
Międzyrzecz

PIOTR IBRAHIM KALWAS
MIĘDZYRZECZ

Ilustracje
Anna M. Koźbiel i Adam Walas



[Kup książkę](#)

Copyright © Piotr Ibrahim Kalwas, 2013
Copyright © Anna M. Koźbiel i Adam Walas, 2013 – ilustracje
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2013



Opracowanie graficzne i projekt okładki
(Anna M. Koźbiel i Adam Walas)

Redakcja
Jan Wiśniewski

Korekta
Dorota Grzywacz

Łamanie
MJK

ISBN 978-83-62247-25-7
Wydanie I
Pruszków 2013

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydawca
JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

[Kup książkę](#)



Podmucha wiatru o świecie wyjawia ci tajemnicę.

Nie powracaj do snu.

Musisz zapytać, kim naprawdę jesteś.

Nie powracaj do snu.

*Ludzie, tam i z powrotem, przekraczają granie,
gdzie spotykają się dwa światy.*

Drzwi są otwarte na okrągło.

Nie powracaj do snu.

Dżalaluddin Rumi

GWOLI KRÓTKIEGO WYJAŚNIENIA

Spotkałem go 24 czerwca w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie. Nie wiem, skąd przybył i jak mnie tam znalazł. Nie pytałem, a teraz myślę, że powinienem. Zanim podszedł do mojego stolika, miałem tam spotkanie z dawno nie widzianym znajomym z licealnej ławki. Banalne wspomnianie szkolnych czasów; kolega był jeszcze nudniejszy niż w szkole. Zapowiadało się długo, ale na szczęście jego komórka dosyć szybko wezwwała go do współczesności. Bardzo przepraszał, ważna sprawa, arcyważna, rozumiesz, Piotrek. Oczywiście, jasne. Cześć, cześć. No, to do następnego. Cały czas rozmawiał przez telefon, patrząc na mnie niewidzącym wzrokiem. Już był daleko, w firmie. Wymieniliśmy się szybko elektronicznymi danymi. Miał elegancką wizytówkę na śliskim papierze. Wyszedł z telefonem przy uchu. Analizy i wszystkie raporty na jutro – to były ostatnie jego słowa, jakie usłyszałem. Nervowe, gniewne. Potem znów spokojny szum i gwar letniej Warszawy. Posiedziałem jeszcze chwilę sam przy stoliku, nie chciałem wychodzić z nim, bałem się, że będziemy razem szli „w tym samym kierunku”, czego bardzo chciałem uniknąć. Dopiłem zimną herbatę i zacząłem zbierać się już do wyjścia, kiedy do mojego stolika podszedł elegancko wyglądający starszy pan. Drogi garnitur, prążki à la tenis, chusteczka w górnej kieszonce, krawat, kamizelka, staromodny zegarek, śnieżnobiałe implanty, ledwo wyczuwalna aura polo albo old spice’a. Wszystko ze smakiem. Chyba cały czas siedział kilka stolików obok, nie jestem pewien, a szkoda, bo to by znaczyło, że mnie śledził, że czekał na mnie. Robert de Razin, przedstawił się. Profesor literatury z uniwersytetu w Lyonie. Polonista. Subtelny, chłopięcy wręcz głos. Delikatny uścisk dłoni. Mówił bardzo dobrą polszczyzną, z ledwo wyczuwalnym francuskim akcentem. Poprosił o pół godziny. Gorąca czekolada, sernik

z rodzynkami, szarlotka na ciepło. Rozmawialiśmy o sztuce, już dokładnie nie pamiętam, ale chyba był Bosch, Dürer, Beckett, Mozart, mistyka flamenca chyba też. Był jak chodząca encyklopedia, wyczułem to po kilku zdaniach. Ogromna wiedza. Nie jestem pewien, ale chyba odnosił się też do Ewangelii, może do Apokalipsy, wszystko jakoś zatarło mi się przez wydarzenia, które nastąpiły potem; pomieszało. Tak, tak, oczywiście czytał moje książki, oczywiście gratulował, takie tam miłe ble-ble-ble. Dlaczego nie spytałem, jak mnie znalazł u Bliklego, co za osioł ze mnie? Szarowodniste oczy, chyba lekki artretyzm; tłumił kaszel, wyciągnął paczkę papierosów, ale od razu je schował. No tak, zakaz palenia, ale to nie dlatego chyba. Potem, jak o tym myślałem, doszedłem do wniosku, że chciał mi dać jakiś znak tym szybkim wyciągnięciem i schowaniem paczki papierosów. Nie zauważyłem marki, czerwona paczka z białymi literkami. Miękka, na to zwróciłem uwagę. Tak, te papierosy to był jakiś znak, klucz; chyba. Nie wiem, co oznaczający.

W pewnym momencie przyciszył głos i zapytał, czy mógłbym coś dla niego zrobić. Słucham, panie profesorze. Wyciągnął z eleganckiej teczki jakieś pismo i położył przede mną. Niebieska okładka: „Radar” – magazyn literacki. No, znam, pisałem dla nich opowiadanie o Schulzu. Ach, jak mi się podobało to opowiadanie, panie Piotrze, powiedział z uśmiechem, a potem otworzył pismo. W środku była foliowa teczka, przez okładki prześwitywały jakieś stare dokumenty, zmurszałe papiery. Kilka stron; cienkie, porwane, postrzępione. Pochyliłem się nieco i dojrzałem greckie litery. Jakiś stary dokument. Zamilkł i wpatrywał się we mnie z lekkim uśmiechem. Spojrzałem na niego i też się uśmiechnąłem. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi.

Co mogę dla pana zrobić, panie profesorze?

Stary manuskrypt grecki. Bardzo stary, powtórzył z naciskiem. Potem, w kilku zdaniach, wyłożył mi sprawę.

Chciał, żebyśmy zawiózł ten manuskrypt w pewne miejsce na północy Europy i oddał pewnemu człowiekowi. Ujął filiżankę z czekoladą

i podniósł ją do ust. Kciuk i mały palec miał mocno, nienaturalnie odchyłone; tak, chyba cierpiał na jakąś reumatyczną przypadłość.

Oczywiście, że w pierwszej chwili odmówiłem. To jakiś przemysł sztuki zapewne, nie ma mowy, nie wchodzę w to. Co to w ogóle jest, spytałem, dotykając lekko folii. Nie, nie, niech pan nie pyta i niech się pan niczego nie boi, panie Piotrze. To nie jest żaden przemysł. Ten grecki dokument jest własnością tego człowieka na północy. Odda mu pan tylko jego własność, żaden kryminał, nie śmiałybym pana nigdy w takie sprawy... Dlaczego ja? Niech pan o nic nie pyta, mówił szybko, cały czas się uśmiechając. Dlaczego mam nie pytać, przecież chce pan ode mnie, panie profesorze, czegoś bardzo... Podniósł obie dłonie do góry. Zamilkłem.

To trwało dosłownie z piętnaście sekund. Wyciągnął książeczkę czekową z wewnętrznej kieszeni marynarki, wypełnił czek kilkoma szybkimi posunięciami złotego mont blanca, wyrwał kartkę i podał mi. Plus wszystkie koszty podróży, dodał.

Spojrzałem na czek. Nigdy nie trzymałem w ręku takich pieniędzy. Adres tego człowieka był na Wyspach Owczych.

Przeprosił na chwilę i skierował się w stronę toalety. Czekałem jakiś kwadrans. Posrał się po tej szarlotce czy jak? Poszedłem sprawdzić.

Nie, nie było nikogo w toalecie. Wziąłem „Radar” ze stolika, czek wsunąłem do tylnej kieszeni spodni, potem zapłaciłem przy barze i wyszedłem. Ciepły, wieczorny wiatr. Po przejściu paru metrów zawróciłem, wszedłem ponownie do kawiarni i poprosiłem o rachunek. Pomyślałem, że to będzie pierwsza rzecz do rozliczenia.



MIĘDZYRZECZ

Dlaczego wychodzicie?

Mistrz Eckhart

Ten sen zaczął pojawiać się rok temu, może trochę dawniej. Zazwyczaj nad ranem samym. Co parę tygodni powracał. Zawsze taki sam. Budziłem się z uczuciem nieokreślonego niepokoju. Niepokoju obcowania z nieznanym. Ale nie, nie był to jakiś koszmar, strach z podświadomości mrocznej wyrwany. Nie, nie, to nie był lęk, to był sen z rodzaju tajemniczych, a nie przerażających, dusznych. Raczej tajemnica, tak czułem, kiedy zaspany siadałem na łóżku. Tajemnica.

Widzenie krótkie, nie wiem, może dwuminutowe, czas snu to przecież inny czas, to pozaczas. Wizja rozmazana na początku, jakieś głosy dalekie, jakby śpiewy albo nawoływania. To było gorące miejsce, nie widziałem jeszcze wszystkiego w tym śnie, ale czułem gorące powietrze, wiatr przesycony słońcem i morzem, taki jak mam na co dzień tu, w Aleksandrii. Potem obraz się wyostrzał i zaczynałem widzieć miasto. Fragmenty miasta, chyba niedużego; wszystko było małe i wąskie, kameralne. Dobrze mi tam było w tym mieście-śnie, bo ja kameralistykę uwielbiam we wszystkim. Kamienice niskie raczej, przytulone jedne do drugich, chaotycznie trochę; zdecydowanie południowe, nie północne. Mury ciepłe, nasączone słońcem, a nie wiatrami zimnymi i deszczem. Z małymi okienkami, małymi metalowymi balkonami, z detalami pięknymi, głowami satyrów i żeliwnymi kołatkami. Pranie falujące na wietrze, dużo prania, no, wiesz. Południe. Żółte ściany. Piskowa żółtość dominowała w tym sennym miasteczku. Obdrapane mury, doniczki z pelargoniami, kable wiszące na zewnątrz, talerze anten satelitarnych, koty.

Na początku myślałem, że to arabskie miasto, ale było za dużo kwiatów, a za mało śmieci, które wiatr lekko rozwiewał; ja lubię bardzo, jak wiatr rozwiewa śmieci na ulicach. I to we śnie. Podniszczone tropikiem

domy, ale nie ruiny. Zaniedbanie pośrednie to było, śródziemnomorskie. Nie tak wielkie jak w Egipcie czy Algierii, ale większe niż na Malcie czy w genueńskich Włoszech. I ta dominująca w śnie piaskowa żółtość murów; takiej żółci nie ma w Grecji ani w Turcji. – To gdzieś indziej się dzieje, to nie u mnie – szeptałem cicho do siebie. Z jednego z domów podrywał się gołąb i frunął w lazurowe niebo. Trwało to ze trzy sekundy. Trzymał w dziobie kawałek chleba. Potem uliczką przechodził ksiądz. Czarny ksiądz bez brody. Wygolony; zachodni, nie wschodni; ale też południowy, nie północny. Katolicki, nie grecki ani pastor żaden szwedzki – na bank. W żadnym momencie nie mogłem dobrze dojrzeć jego twarzy, wszystko było cały czas lekko zamazane, ale to normalne, to przecież sen, prawda? Ten ksiądz przechodził koło domu, na którym była tabliczka z nazwą ulicy, na balkonie w stylu „Romea i Julii” pojawiała się wtedy młoda dziewczyna; trzymała w dłoni kiść ciemnych winogron. Dziewczyna machała do księdza, który coś jej odkrzykiwał ze śmiechem, a potem znikał za rogiem uliczki, w podcieniach jakby. Dwadzieścia sekund, może trochę mniej.

I potem cisza niewiarygodna, o natężeniu możliwym tylko we śnie, i zaraz muzyka. Króciutka, trzy-cztery akordy na skrzypcach. Tam, w tle tego snu, ta muzyka... tam, w tle jakby szepty, kroki, westchnienia. Jakby ktoś zabłądził, zaplątał się w tym miasteczku, w mojej sypialni aleksandryjskiej albo w obrazach Giorgia de Chirica, bo to tak właśnie wyglądało, ten sen. Jak z obrazu Chirica. Tak, tam stał jakiś mężczyzna, od razu nazwałem go „zagubionym wędrowcem”, właściwie nie nazwałem, ale odczułem go tak. Stał w podcieniach.

Tak, widzę go teraz wyraźnie, mimo że prawdopodobnie nie śnię, tylko piszę te słowa dla ciebie. Tak, stoi tam; to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w elegancki garnitur i kapelusz. Rozgląda się trochę bezradnie dookoła. Wyciąga z kieszeni białą chustkę i ociera nią czoło. Upał. Pociąg daleko, pociąg daleko, gwizd przeciągły zawisł w powietrzu jak akord skrzypcowy Schön... Berga... Dziewczynka z hula-hoop

przebiega przez wąską uliczkę. Nieruchoma sekunda. Opustoszały upał południowego miasteczka z domami o żółtych ścianach. Długie martwe cienie. Ostre śródziemnomorskie słońce, *mistero e malinconia di una strada*¹. Co ukochoam, jeśli nie tajemnicę? Tak napisał na jakimś obrazie. On, Chirico.

Potem zbliżałem się do jednego z tych domów, coś mnie zbliżało właściwie, jakaś siła tajemnicza, wchodziłem do tego miasteczka, do snu. I zaglądałem przez okno. Przez uchyloną drewnianą okiennicę. Widziałem małe patio, pełne doniczek z kwiatami, i jakiegoś starego faceta, odwróconego tyłem do mnie. Siwe włosy, pochylony kark, bose stopy pod krzesłem. Pisał na komputerze chyba. Nie wiem, to tak szybko się działo, zamazane, zamazane wszystko... Znowu muzyka skrzypiec. Kot wychodził zza doniczek i ocierał mu się o nogi. Nie widziałem twarzy człowieka przy komputerze, słyszałem tylko jego cichy głos, kiedy wołał kota:

– Si... Si... Si...

Kot zaczynał mruczeć i ocierał mu się o nogi jeszcze bardziej intensywnie. Słyszałem jego motorek w gardle. Potem znowu ulica. Gorąco, wiatr morski i ta tabliczka z nazwą ulicy. Zbliżałem się do niej, coś mnie do niej zbliżało i zawsze, kiedy już-już chciałem odczytać nazwę ulicy, budziłem się.

Potem wstawałem. Było po wszystkim. Po śnie. Wiedziałem, że muszę cierpliwie czekać na następny raz. Myślałem, jak przedłużyć trwanie w tym śnie. O jedną-dwie sekundy. To by mi pozwoliło odczytać nazwę ulicy. Wiedziałem, że to może dużo dać. Język. Nazwa ulicy naprowadzi mnie na kraj. Będzie *rue* albo *via*, albo *sokak*, to gdzieś tu, to nie będzie *sharia*, nie, nie, za dużo kwiatów, ksiądz... Nazwy poszukam w internecie, wkleję w grafikę, może trafię na to samo miasteczko, może na tę samą uliczkę, może...

¹ (wł.) – Tajemnica i melancholia ulicy.

Potem jednak wyjechałem na Północ. Musiałem.

Ale sen powracał.



Kołysanie i bujanie. Góra, dół. Kręcenie się bezładne, od ściany do ściany. Nerwowe chwytywanie uciekających ścian i sprzętów. Malutka kajuta, ja sam w niej. Na szczęście sam, bez drugiego człowieka. A mógł być ten drugi, bo kocha górna wolna. Mógł być i mógł mi przeszkadzać w myśleniu i oglądaniu świata tu – wewnątrz tego małego, ciemnego pokoiku – i tego świata tam, na zewnątrz, gdzie głębia stalowoszara. Mógł prosić o zapalenie światła, a ja wolę w ciemności być, bo bliżej mi wtedy do siebie. Jednostajny szum morza za malutkim okrągłym okienkiem, które zasłaniałem, kiedy nie mogłem już znieść ogromu oceanu widzianego na zewnątrz. Ale to jednak kuszące, bardzo kuszące, ten widok stalowego, przerażającego bezkresu wody. Niezglębionej głębi dookoła. Nic, tylko ta stalowa głębia w wiecznym ruchu. Wtedy okienko otwierałem i rozszerzonymi ze zdumienia oczami wpatrywałem się w bezkres nieustannego kołysania Atlantyku. Tak, ten wieczny ruch jeszcze bardziej mnie przerażał niż sama głębia i jej niezmierność. Brak stałości. Wieczny powrót fal. A przecież kiedyś ruszyła pierwsza fala i kiedyś ostatnia fala, ta sama, dobiegnie swego kresu, osiągnie jakiś punkt ostatni. A co będzie tym punktem? Brzeg? Bezpieczny brzeg wyspy szczęśliwej, już bez tego bezładnego, niepojętego, budzącego strach kołysania i falowania? Czy tak?

Prom wypłynął z Bergen popołudniem; miałem kajutę na samym dole. Widziałem głębię tuż nad jej powierzchnią. A nie było to morze południowe, pełne przejrzystości i światła, byłem na północy dalekiej. I jeszcze dalej na północ zmierzałem. Tu jest ciemniej. Mój statek był drakkarem, nie okrętem Odysa. Ale ja też płynąłem ku wyspom dalekim.

Dwadzieścia jeden godzin kołysania i bujania. Kanapki norweskie z krewetkami w majonezie miałem i termos z herbatą, już chłodną. W nocy Lerwick na Szetlandach. Godzinny postój. Przez półsen niepokojny, rozkołysany słyszałem silniki wyjeżdżających samochodów, jakieś maszyny, nawoływania pracowników portowych. Dziwny, gardłowy język, jakby połączenie staroangielskiego z jakimś nordyckim dialektem. Z lubością słuchałem tych słów. Ten język brzmiał archaicznie, niszowo, czuć w nim było tę zimną stal, rechotanie kruka. Topór, miecz i białe włosy. Byłem mniej więcej w połowie drogi.

Wstałem wcześniej. Obserwowałem. Zaslona na oknie niczym kurtyna w teatrze. Szara, zimna głębia, ale jakby nasączona przejrzystą jasnością. Ale już mewy; kilkanaście wielkich białych ptaków wisiało nieruchomo na tle nieba, równie szarego jak morze, wyładowanego ciężkimi brunatnymi chmurami. Na szybie skraplała się woda słona i słodka. Padał deszcz.

Kupiłem w bufecie kawę i ciastko z białym budyniem. Kelnerzy wynosili worki wypełnione puszkami i butelkami po piwie. Potem pokład; mało jeszcze było ludzi, to dobrze.

Świt. Ten wiatr przenikliwy, ostry, przyginający do ziemi. Zwiastujący kulturę chłodu i ognia. Wiatr uderzający strugami zimnego deszczu w oczy, wichur wyśpiewujący nieokreśloną, trudno uchwytną, tajemniczą północną pieśń, jakiś Ragnarök ponury, ale jednocześnie niewiarygodnie piękny. Na horyzoncie zza chmur i mgieł powoli wyłaniały się kamienie. Pokryte trawą kamienne wzgórza. Na nich rozrzucone niczym kolorowe klocki drewniane domy, intensywnie barwne, jakby na przekór tej wszechogarniającej, monotonna szarozielonej rzeczywistości. Domy samotne. Jakby wpatrzone w morze i w chmury; milczące. Jakby każdy był osobny, niezależny od drugiego. Świat skupiony, zamknięty w sobie, za mgłą. Kości czarownic i rybaków. Gregoriański chorał, lód.